

## Bezduszny Uniwersytet

Europa to gmach trzymający się na dwóch kolumnach: jedną jest Katedra, drugą – Uniwersytet. Tak twierdzi dr Józef Duda, historyk ekonomii z UMCS w Lublinie. Od kilkudziesięciu lat wędruje on po Europie ich śladami, dokumentując zdjęciami swoje własne ich widzenie, po to, by – jak mówi – porównać to, co niegdyś czytał w podręcznikach, z tym, jak to wygląda w rzeczywistości. Ponieważ kilka razy zaprosił mnie na te wyprawy, zaraziłam się jego szacunkiem do tych dwóch instytucji, czemu sprzyja majestatyczność wspaniale zachowanych i czynnych po dzień dzisiejszy Katedr i Uniwersytetów we Włoszech, Francji, Hiszpanii. Bezwiednie utrwaliło się też moje przywiązanie, miłość i sentyment do Uniwersytetu w ogólności i do mojej Alma Mater, Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, w szczególności. Skończyłam w nim niegdyś studia pedagogiczne, a od ponad 40 lat pracuję jako nauczyciel akademicki, wykładając filozofię. Wszystko, co zostanie napisane niżej, jest podyktowane tym przywiązaniem i miłością – uczuciami, które w ostatnim okresie wystawione zostały na ciężką próbę. Albowiem z przestraczem i rosnącą obawą obserwuję zjawiska, które zdają się świadczyć, że Uniwersytet na moich oczach (i przy niezamierzonym, milczącym udziale) dokonuje czegoś w rodzaju moralnego samobójstwa. Zapierając się swoich szczytnych celów, dzięki którym kiedyś wspiał się na sam szczyt europejskiej kultury, stając się swoistym przetrwalnikiem humanizmu i humanitaryzmu. Jeśli zdarzało mu się od czasu do czasu obniżać loty albo wręcz „paktować z diabłem” (*casus* Heideggera, który przez 9 miesięcy godził się być rektorem za Hitlera, czy getto ławkowe w latach 30. w Polsce), zostało to uznane za niezmywalne piętno hańby. Historia nie wybacza, zwłaszcza tym, którzy są powołani do ostrzegania przed hańbą.

Być może moje lęki są przesadzone, oczekuję zatem argumentów, które pozwolą mi je zmniejszyć, wyjaśnić, które pozwolą mi zrozumieć, że Polsce i światu stała się już zbędna arystokracja ducha. Bo przecież Uniwersytet pojawił się niegdyś jako instytucja nie po prostu hierarchiczna, ale właśnie – arystokratyczna. Dobierał osoby, które umiały *patrzeć z wysoka*, choć bez wyniosłości. Obcować z *wartościami najwyższymi* i wpajać tę potrzebę kolejnym generacjom swoich absolwentów. Uniwersytet był zatem ostoją *duchowości*. W moich oczach, obecnie przemienia się on w rozsadnika *bezduszności*. Staram się sobie i innym ukazać, jak mogło do tego dojść.

### **1. Drzewo Poznania: pionowy pień i pozioma korona. Człowiek a samoświadomość człowieczeństwa**

Przyjąwszy „aksjomat Józefa Dudy”, spróbujmy sobie wyobrazić, jakie budowle i jakie ślady zostaną po naszych czasach. Co ujrzą, co uznają za charakterystyczne i typowe i jak na tej podstawie będą nas sobie wyobrażać ci, którzy – za kilka stuleci – będą zwiedzali zabytki z epoki „wczesnego liberalizmu” w Polsce początku XXI wieku. Zestawienie Uniwersytetu z Katedrą, to, oczywiście, zestawienie Nauki z Religią albo, innymi słowy, Wiedzy z Wiarą. Jednakże tak ujęta opozycja jest

zbyt prosta, przez co też wprowadzająca w błąd. Z tego względu, że autentyczna, nie powierzchowna Wiara wymaga wiedzy (choćby tylko teologicznej), Wiedza zaś – wiary (choćby takiej, jak już niedowodliwe aksjomaty geometrii czy niewerbalne i nie w pełni uświadamiane założenia teoretycznego paradygmatu, w którym każdy uczony, chcąc nie chcąc, funkcjonuje). A zatem i Uniwersytet, we własnym łonie, także musi mieć komponent wiary. Ale nie wiary religijnej, której pomnikiem są Katedry, lecz wiary w jakieś inne niezbywalne wartości, które go powołały do życia i które uzasadniają jego nieprzerwane po dziś dzień istnienie (zastanawiające *nota bene* jest nazewnictwo uniwersyteckie: jeszcze do niedawna na określenie jego najmniejszej jednostki używano się słowa „katedra”, kilkadziesiąt temu lat zastąpiono je nazwą „zakład”; pierwsza została usunięta zapewne wskutek „kościelnych skojarzeń”, druga, bardziej „fabryczna” i biurokratyczna, utrzymała się do dziś i nikogo już nie razi). Wydawać by się mogło, iż jest to *Wiara-w-Wiedzę*, że zatem Uniwersytet stoi na fundamencie przekonania, że ani społeczeństwo, ani kultura nie mogą obejść się bez kultywowania bezinteresownej miłości do wiedzy, na której to wiedzy wspiera się przecież także cywilizacja. Miłość „interesowną” uprawiały i uprawiają wszelkie inne, pozauniwersyteckie szkoły wyższe, wpajające praktyczne kompetencje i umiejętności: politechniki, akademie medyczne czy rolnicze, które, co prawda, są „wyższymi”, ale czysto zawodowymi „szkołami”, przygotowującymi do pełnienia określonych zawodów, kształcącymi specjalistów w danej dziedzinie. Tradycyjny Uniwersytet wyróżniał się na ich tle tym, co jako swoje niezbywalne powołanie ma utrwalone w nazwie. Mianowicie gromadzeniem, przechowywaniem, pogłębianiem oraz kultywowaniem *wiedzy uniwersalnej*; odnoszącej się do *wszystkich ludzi* i traktującej o *ludzkich powszechnikach*. Takiej zatem, bez przypominania i wpajania której człowiek przestałby być człowiekiem. Humanistycznej – w tym sensie, że trwającej na straży *człowieczeństwa w człowieku*, jako że te dwa pojęcia bynajmniej nie są tożsame co do treści. Człowiekiem jest się już tylko z racji urodzenia przez kobietę, człowieczeństwo zaś to szczególny proces „wzrastania w wartościach”.

W postaci humanistyki (i humanitaryzmu jako jego praktyki) Uniwersytet pragnął utwierdzać w przeświadczeniu, że wbrew wszelkim powierzchownym odmiernościom i różnicom, wszyscy jesteśmy w tym samym stopniu członkami Rodziny Ludzkiej. Przynależymy do ludzkiego Rodu, urodziliśmy się z jednego pnia jako jego nieprzeliczone rozgałęzienia, gałęzie i gałązki, gałązeczki. Z tej wspólnoty pochodzenia wynika fakt, iż partycypujemy nie tylko w tych samych korzeniach, ale i we wspólnej koronie. Tą koroną jest właśnie Człowieczeństwo. O ile korzenie muszą być bezpośrednio zanurzone w glebie Bytu, o tyle korona, łącząca się z nimi poprzez pień, rozpościera się w Świadomości. Jej żywiołem właściwym jest to, co napowietrzne i przewiewne: świadomość oraz jej forma najwyższa, duchowość. O ile korzenie muszą twardo wrastać w glebę, z której czerpią żywotne soki (muszą więc być „realistami”), o tyle korona sytuuje się między Ziemią a Niebem. Pionowy kierunek pnia i poziomo z niego się rozpościerającej korony (co za królewska nazwa dla drzewa!) jest efektem dążenia ku światłu, ku Słońcu, a w przypadku człowieka – ku Transcendencji. Wyznacza go swego rodzaju „przyciąganie niebieskie”. Ostatecznie, zarówno konkretne drzewa, jak i symboliczne Drzewo Życia osiąga kształt „polubowny”, będący wynikiem „negocjacji” między siłami geotropizmu i heliotropizmu.

Podobnie i Drzewo Poznania winno odzwierciedlać współistnienie i pokojowe zmaganie się interesów *ludzkiego* bytu materialnego oraz *człowieczego* bytu duchowego. Troską o utrzymanie takiej dynamicznej równowagi obarczony (i uhonorowany) został właśnie Uniwersytet. W odróżnieniu od wszelkich innych zawodowych szkół wyższych, różnicujących ludzi według specjalizacji, powstał on – i istnieć powinien – po to, by podtrzymywać łączność i poczucie międzyludzkiej wspólnoty w sferze świadomościowo-duchowej. Podczas gdy szkoły wyższe uczą poszczególnych profesji, niezbędnych dla bezkolizyjnego i *wygodnego* pędzenia życia, Uniwersytet ma je poniekąd *utrudniać*. Powinien uprzytamniać, jak niesłychanie problematyczną i trudną jest „profesja” bycia *ludzkim człowiekiem*. Jak ogromnego wysiłku, bezustannego napięcia i czujności, a niekiedy też walki ze sobą samym wymaga od każdego z nas *życie po ludzku*. Jak więc bacznie i trwożnie trzeba dbać, by się z niej nie ześliznąć na skraj tego, co już *niehumanitarne*, ale zarazem jakie to zachwycające i wspaniałe, że niektórym – bohaterom, świętym, geniuszom – udaje się wspiąć na szczyt tego, co *nadhumanitarne*. Uniwersytet winien przeto ustawicznie przypominać, że przeciętność, uosabiana przez znakowaną szarym kolorem „normalność”, to zaledwie jeden z trzech wymiarów człowieczeństwa, wprowadzić potrzebny, ale nie jedyny.

Ryszard Kapuściński, mało znany jako poeta, napisał kiedyś wiersz o tym, iż korony drzew każdego gatunku (sosny, dębu, jodły itd.) w swoim kształcie stanowią symetryczne powielenie charakterystycznego rysunku korzeni. Podobnie ludzka duchowość jawi się jako swoiste – wyrażone innymi, symbolicznymi środkami – potwierdzenie bytowych, biologicznych korzeni. Ma przypominać, iż z najwyższego punktu, z lotu ptaka, „nie ma Żyda ani Greka”, wszyscy bowiem wywodzimy się od rajskiego Adama, względnie ziemskiej pra-mamy (jednemu i drugiemu z owych praprzodków nie można nadać ani rasowej, ani etnicznej tożsamości). Na zasadzie dziedziczenia „genów człowieczeństwa” we wszystkich przyszłych pokoleniach, rodzą się po prostu ludzie, spokrewnieni ze sobą biologicznie i duchowo; wzajem dla siebie bliźni. Spaja ich już nie jedynie pochodzenie, ale i godność przysługująca wszystkim jako osobom, czyli istotom duchowym. Najogólniejszym powołaniem i misją Uniwersytetu ma być właśnie podtrzymywanie i utwierdzanie człowieka w niezbywalności oraz godności jego człowieczeństwa, jak również zobowiązanie Nauczycieli i Studentów do przypominania i przestrzegania, bez względu na historyczne okoliczności, przed jej degradacją, reagowania na przypadki jej zagrożenia i poniewierania; potępiania ich, piętnowania i nawoływania do naprawy.

Jest sprawą zmienną, jak owo *abstrakcyjne* (bo modelowe) *człowieczeństwo* było postrzegane w różnych epokach, w jakim atrybucie się je umiejscawiało. Człowiek jest wszak bytem samodefiniującym się i poza tym, że jest dość jednoznacznie wyodrębniony spośród innych gatunków biologicznych, resztę swoich istotnych cech dookreśla sam. Przejawia się to w znacznej ilości określeń tego rodzaju, co: *homo sapiens, homo faber, homo agens, homo creator, homo sovieticus, homo destruens, homo construens, homo ludens, homo viator, homo patiens, homo festivalus, homo inquietus...* Lista przydawek do rzeczownika *homo* jest przeogromna i otwarta; niemożliwa zresztą do zamknięcia, jako że każda epoka, a ponadto każdy z nas w pojedynkę może w sobie wykryć, rozwinąć i zaktualizować kolejną, nie

uaktywnione wcześniej potencje, i zaproponować je w charakterze powszechnego atrybutu.

Metadefinicją człowieka mogłyby być słowa piosenki do tekstu Wiesława Dymnego: „Człowiek jak bóstwo – nieobliczalny”! Jest to zresztą zapewne bezwiedna parafraza autodefinicji „Człowieka z podziemia”, bohatera jednej z najdziwniejszych utworów Dostojewskiego. Ów bezimienny „czelawiek iz podpolija” mówi o sobie, że jest... kapryśny. Co więcej, dla wszystkich ludzi domaga się on takiego samego „prawa do kaprysu”. Przejawiającego się w tym, że aczkolwiek zasadniczo „dwa a dwa to cztery”, to od czasu do czasu „dwa a dwa może równać się pięć”. Uzasadnieniem dla takiego odchylenia od powszechnej reguły jest obawa przed popadnięciem w banał i w rutynę. W intelektualny schematyzm, który rodzi arogancję i samozadufanie, prowokuje pychę i wulgarność zarówno w zachowaniu, jak też i w samym myśleniu.

„Nieobliczalność” i „kapryśność” mają wszelako dwa oblicza. Mogą się objawić jako zryw i dążenie w górę, ku szczytowi Trójwartości Prawdy – Piękna – Dobra, ale niekiedy również jako dryfowanie w stronę Rowu Filipińskiego pisanych małą literą antywartości: fałszu – brzydoty – zła. A zatem albo w kierunku wrażliwości, subtelności i mądrości, albo na odwrót, w kierunku grubiaństwa, prymitywizmu, bezmyślności, głupoty – chamstwa. Przy okazji warto upomnieć się o wprowadzenie kategorii *chamstwa* do filozofii; jego protoplasta, syn Noego, Cham nie był bowiem barbarzyńcą, którego zwykło się przeciwstawiać człowiekowi kulturalnemu; był wyrodkiem, gwałcicielem tej samej kultury! Niedookreślenie bytu ludzkiego niesie ze sobą brak pewności oraz konieczność nieustannego ryzyka. Usiłując rozszerzać własne granice, nigdy nie zdołamy przewidzieć, czy takie próby „przetwarzania” i „dotwarzania” człowieczeństwa poprowadzą nas w stronę niebiańską czy, na odwrót, piekielną. Tym niemniej nie można trwać w stagnacji, nie dopuszczając zresztą do tego bezustanne przemiany w sferze bytu. Od czasów Spenglera „wiemy już, że cywilizacje są śmiertelne”. Wciąż umierające i wciąż odradzające się cywilizacje są niby coraz to inaczej budowane domy. Ich mieszkańcy – a i sami budowniczości – „wzrostem” i „obyczajami” sami też muszą dostosować się do tych gmachów, by móc czuć się w nich u siebie.

## 2. Typy ideogenetyczne; kto po *homo sovieticus*?

Nowe sytuacje spowodowane kryzysami oraz załamaniem uprzednich paradygmatów i stylów życia zmuszają do ich rewizji, a w konsekwencji do tworzenia paradygmatów nowych, zazwyczaj na przekór dawnym. Nie tylko bowiem Natura, ale też Kultura i Społeczeństwo cierpią na *horror vacui* – lęk przed próżnią. Kryzysy, przewroty, rewolucje i wszelkie inne ekonomiczne, polityczne, religijne, społeczne, kulturowe wstrząsy mają to do siebie, że z jednej strony, zaprzeczają *ancien régime*, z drugiej, budują swoje własne „nowe łądy”, które z upływem czasu nieuchronnie czeka identyczny los: starzenia się, kostnienia, obumierania. Jednakże w pierwszej fazie porewolucyjna „nowa wiara” wydaje się bezalternatywna i niezachwiana. Za tą wiarą kryje się pewna wizja człowieka i od niej pochodna – wizja społeczeństwa i kultury. Chciałabym się uważniej przyjrzeć tej wersji człowieczeństwa, jaka skrywa się za

obecną – to jest pochodzącą z pierwszej dekady XXI wieku – mentalnością i na niej opartą wizją Uniwersytetu. Staram się w tym względzie iść za Erichem Frommem, który twierdzi, iż człowieczeństwo jako takie jest abstrakcją, która wszakże wciela się w rozmaite, zmienne historycznie postacie „osobowości społecznej”. On sam odkrył, zanalizował i opisał „osobowość autorytarną”, bez wykształcenia się której nie zaistniałby totalitaryzm. Wspomniany wyżej *homo sovieticus* to wschodni, bliźniaczy brat zachodniego *homo totalitaricus*. Jako że w Polsce za cezurę między epoką totalitaryzmu i posttotalitaryzmu przyjęto rok 1989, spodziewać się należy, że przez blisko ćwierć wieku, które minęło od tego umownego momentu, zdążył się zarysować jakiś, choćby najogólniejszy, szkic portretu *homo post-totalitaricus*. Nazwa ta jest czysto chronologiczna, nie zawiera jeszcze żadnych szczegółowych określników, z tego względu jest też gotowa przyjąć każdą treść, jaką przyniesie czas. Na początku, po przełomie, chodziło głównie o zerwanie z przeszłością, o radykalne od niej się odseparowanie. Silnym bodźcem do pojawienia się sylwetki jakiegoś „człowieka posttotalitarnego” była w Polsce lustracja – politycznie wymuszony i przyspieszony proces tępienia „starego człowieka”, obciążanego winą za całe dotychczasowe zło. Wkraczanie w „nowe wspaniałe czasy” odbywało się tak spektakularnie, że niedawne władze państwowe obwołały powstanie IV Rzeczypospolitej, który to akt miał symbolicznie i realnie zatrzaskać bramy za – jakoby winnym wszelkiej niegodziwości – „Peerelem” i traktowaną jako jego kontynuację III Rzeczypospolitą. Zarazem oznaczało to symboliczny pogrzeb jej „wiodącego” obywatela – „komucha”, który owemu złu służył. Nawiasem mówiąc, proces ten przebiegał według odwiecznego schematu; każdy nowy ustrój odcinał się od poprzedzającego za pomocą podobnej inscenizacji, ogłaszania śmierci i symbolicznego pochówku „starego gorszego świata” wraz z jego – potępionymi i uznanymi za wrogów – mieszkańcami, a w to miejsce zakładania od fundamentów Nowego Wspaniałego Świata, zaludnionego przez równie Wspaniałych Nowych Ludzi. Na tej zasadzie Proletariusz jako zwycięzca Rewolucji Październikowej przejmował ster, siłą wydarty Burżujowi, a po bezkrwawej Rewolucji Solidarnościowej, odrodzony moralnie, napełniony wartościami chrześcijańskimi Polak-Katolik odbierał władzę bezbożnemu „Komuchowi”. Niestety, za trzecim razem sytuacja nie okazała się tak klarowana jak wcześniej, albowiem istotne zmiany w sferze bytu, jakimi były powrót do własności prywatnej oraz rozkwit biznesu, zamąciły obraz owej „powtórki z sanacji”. Tym bardziej, że w ramach globalizacji Polska znalazła się w łonie cywilizacji konsumpcyjnej. Konsumpcja zaś wzbudzała w ludziach wręcz przeciwstawne motywacje do tych, jakie implikował wczesnokomunistyczny ideał ascezy (mimo wszystko bardziej sprzyjający moralnej czystości). Pod fasadą hasła „powrotu do wartości chrześcijańskich”, z nacelną dla nich miłością bliźniego, wyzwoliły się i praktykę życia społecznego zdominowały tendencje agresywne i anty-ascetyczne, na czele z apologią przedsiębiorczości, aprobatą dla indywidualnego bogacenia się. Ich syntezą stała się niezwykle ofensywna ideologia sukcesu. Podniecała ona w ludziach ambicje i apetyty materialne, tym bardziej, że otworzył się swobodny dostęp do najróżniejszych i nieprzebranych dóbr i usług konsumpcyjnych. Wobec takich okoliczności w sferze bytu, adekwatnym i – w jakimś sensie bardziej logicznym – okazało się hasło wzywające do tego, aby „intensywnie się bogacić, po to, by moc jak najwięcej użyć i zużyć”, aniżeli „bogacić się po to, by dzielić się z tymi, którzy mają mniej”. Miłość i hojność dla biedniejszego

bliźniego czy bodaj tylko bardziej sprawiedliwy podział dóbr ustąpiły miejsca regule ostrej konkurencji. Inny człowiek jawił się Biznesmenowi nie jako potrzebujący opieki i pomocy „słabszy brat”, ale jako konkurent, rywal, przeszkoda na drodze do sukcesu i kariery, względnie jako środek i narzędzie do ich zdobycia. Taką postawę znakomicie obrazuje fragment piosenki Marcina Różyckiego, której bohater, właściciel supermarketu, „tnie pazurem po szkle, gdy stara baba prosi o bułki dwie”. Drugą stroną ideologii „sukcesu za wszelką cenę” okazała się silna presja do wykluczania z „konsumpcyjnej uczyty” wszystkich tych, którym się z różnych powodów nie powiodło, bo albo przegrali w konkurencji, albo do niej w ogóle nie potrafili (ewentualnie nie chcieli) przystąpić. Stąd też wzięła się dość powszechna i, w gruncie rzeczy, niemożliwa do uniknięcia obłuda [odrodzonej z mroków „Peerelu”] IV??? Rzeczpospolitej z jej głoszonymi jednym tchem – a przecież wzajemnie się wykluczającymi – wezwaniami do „moralnej niewinności” oraz „materialnej prosperity”. Życie zdecydowało, że większość młodszego, dobrze wykształconego pokolenia, z rozbudzoną przez zniesienie granic ambicją dorównania bogatemu Zachodowi, poszła droga Biznesu wiodącą do wrót Królestwa Konsumpcji; znacznie mniej natomiast przypisało się do „pokolenia Jana Pawła II”, które – według pobożnych życzeń twórców tego określenia – miałyby wieść żywot pobożny, zbożny, ale ubogi.

### 3. Prężny Biznesmen – ratyzacja i zmagmowacenie społeczeństwa

To właśnie owe celowo podsycane ambicje, materialne żądze i nowobogacki, nuworyszowski styl bycia Prężnego Biznesmena w dominującej mierze określa obecny „charakter społeczny”. Opisany jedynie przez negację *homo post-totalitaricus* uwyraźnił się też jako uczestnik „wyścigu szczurów” – *homo ratus*. Dogłębniejszą jego charakterystykę przedstawiłam w artykule *Czy zły człowiek może być dobrym uczonym?* („Zagadnienia Naukoznawstwa”, tom XLVI, zeszyt 1 (183), ss. 121-134). Tutaj przedstawię tylko jego najogólniejszy rysopis. Prototypem, a lepiej – za Stanisławem Brzozowskim – powiedziec „typem ideogenetycznym” (S. Brzozowski, *Legenda Młodej Polski, Studia o strukturze duszy kulturalnej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983, s. 105) *homo ratus* jawi się młody Prężny Biznesmen, będący tworem i „honorowym obywatelem” społeczeństwa Konsumpcji. Musi on być istotą nader energiczną, ambitną, przedsiębiorczą, dobrze wykształconą (w znaczeniu posiadania wiedzy i kompetencji w dziedzinie, w której zamierza uprawiać biznes oraz odnieść w nim materialny i prestiżowy sukces). Poza specjalistyczną wiedzą, stale aktualizowaną w drodze kursów, warsztatów, studiów podyplomowych, korzystania z Internetu itp., potrzebuje on też znajomości oraz biegłości w zakresie mechanizmów manipulowaniu innymi ludźmi, postrzeganymi – powtórzmy – wyłącznie jako „przeszkody” na drabinie kariery, względnie jako użyteczne dla niej „pomoc”. Z podobnymi i równymi sobie wchodzi on w „układy”, czyli powierzchowne, dyktowane doraźnymi interesami relacje, których gotów się wyrzec równie szybko, jak je nawiązał. Również prywatne, a nawet intymne relacje z innymi podszyte są interesem – mają być w ten czy inny sposób „opłacalne”. Pod zagrożeniem odpadnięcia albo przegranej konkurencji, Prężny Biznesmen winien wyrobić w sobie

odpowiednią postawę względem innych, przestrzegając (pewnych niepisanych) przykazań. Generalne rysy tej postawy przedstawiają się następująco. Każdego, spoza kręgu najbliższej rodziny, traktować utylitarnie, czyli pod kątem tego, jak można go korzystnie użyć dla przeprowadzenia własnych celów. Profesjonalne, i nie budzące oporów moralnych nawet u naukowców, wyrażenia tego rodzaju co: „zasoby ludzkie”, „kapitał ludzki”, „ludzki potencjał” nie pozostawiają wątpliwości, że ustrój konsumpcyjno-neoliberalny stawia na głowie Kantowski imperatyw kategoryczny, stanowiący fundament nowożytnego humanizmu. Zamiast zakazu traktowania innego człowieka jako wyłącznie środka do celu, antyimperatyw Biznesmena takie traktowanie wręcz nakazuje. Określenie innych ludzi mianem „zasobów” czy „kapitału” (czego nie poważył się uczynić nawet wczesny kapitalizm) legitymizuje dopuszczalność, czy wręcz zaleca, posługiwania się ludźmi jak rzeczami, towarami; krótko mówiąc, jako odpodmiotowaną, bezwładną „substancją”. Pod dyktando głównego przykazania Konsumpcyjnego Neoliberalizmu: „Bogać się i używaj!”, społeczeństwo musi doń adekwatnie dopasować swoją strukturę. Górną jego warstwą będzie „podmiotowa klasa” Efektywnych Biznesmenów, dolną natomiast „przedmiotowa klasa” Ludzkich Zasobów. Pierwsi są nastawieni na wykorzystywanie drugich bez liczenia się z ich materialnymi czy duchowymi aspiracjami, drudzy muszą podporządkować się pierwszym, bo wyłącznie u nich mogą znaleźć zatrudnienie, by móc zarobić bodaj na minimum egzystencjalne. W klasie Prężnych Biznesmenów obowiązującym wzorcem relacji jest wspomniany już „Wyścig Szczurów”, polegający na bezwzględnej, nie stroniącej od nielojalności i nieuczciwości, rywalizacji. W klasie Ludzkich Zasobów również obowiązuje ten sam wzorec rywalizacji, choć tym razem konkuruje się o korzystne zatrudnienie i płacę, co sprzyja pracoholizmowi, będącemu sposobem zaskarżenia sobie łask pracodawcy i oddalenia na liście osób do zwolnienia. „Wyścig Szczurów” stanowi zatem powszechny i obligatoryjny model odnoszenia się do siebie w obu sferach: podmiotowej – pracodawców i przedmiotowej – pracobiorców. Istota „Wyścigu Szczurów” – metafory wziętej z behawiorystycznego eksperymentu, w którym do sztucznie skonstruowanego labiryntu wpuszczano owe gryzonie, kładąc u wyjścia pożywienie i z góry obserwując ich zachowania zmierzające do tego, by jak najszybciej go dopaść – w odniesieniu do ludzi oznacza jednostronną orientację na Sukces. Sukces rozumiany jako zdobycie – *per fas et nefas* – jakiegoś wymiernego, przeliczalnego, konsumpcyjnego dobra (materialnego lub prestiżowego). Jego osiągnięcie traktowane jest jako swego rodzaju meta-dobro; nieważne czy objawia się w formie majątku, stanowiska, władzy bądź też (zazwyczaj krótkotrwałej) popularności. To specyficzne meta-dobro wykluczać się musi z klasycznie pojmowanym Dobrem, będącym wartością autoteliczną, której nie ubywa, a na odwrót, przybywa, gdy jak największa ilość osób do niego zmierza. W Ideologii Sukcesu, patronującej „Wyścigowi Szczurów”, chodzi o wyprzedzenie wszystkich innych w biegu po „zwycięstwo”, przy czym ocenie podlega wyłącznie mierzony walutą efekt, natomiast środki użyte do jego zdobycia nie wywołują specjalnego zainteresowania ani surowej moralnej kontroli. Bardziej serio niż półzartem powtarza się często frazes, że „pierwszy milion trzeba ukraść”. W rezultacie podporządkowania się wyżej wymienionym „determinantom” dochodzi do masowej „ratyzacji społeczeństwa” polegającej na drapieżnym zabieganiu wyłącznie o swoje własne, partykularne czy wręcz egocentryczne, a przy tym czysto doraźne interesy. Oglądanie

się na słabszych, względ na bezsilnych, niezaradnych i bezradnych, oznaczałoby wszak pomniejszenie własnych szans w wyścigu do „wyjścia z labiryntu”, gdzie czeka jadło (dziś chętniej mówi się o „spizarni z konfiturami”). W dziedzinie mentalności odzwierciedla się to jako myślenie według zasady bardzo wąsko pojętego realizmu i praktycyzmu, jak również nieustannego przeliczania zysków i strat. Ich skróconym kodeksem są obiegowe (i bynajmniej nie budzące politowania ani zażenowania) powiedzenia: „coś za coś”, „nie ma niczego za darmo”. W ich skład wchodzi także unizona cześć dla „idoli”, której drugą stroną jest złośliwa uciecha z ich obalenia.

W zakresie stylu bycia *homo ratus* odpowiada narcyzm, czyli skupienie się wyłącznie na swoim „ja” i na wynikającej stąd trosce o zdrowie, wygląd, modny strój, jego wyrafinowanie i stylizację, a zatem na zabiegach o tak zwaną tożsamość (której jednak nie buduje się w pocie czoła samemu, ale się ją „kreuje”, czyli ją sobie wybiera i dopasowuje z bogatej oferty przedstawionej przez fachowców od „image’u”). Im mniej własnej wewnętrznej treści posiada doszczętnie zunifikowany i skonformizowany „buszujący po hipermarketach i galeriach” amator oryginalnej, lecz zarazem modnej „tożsamości” (i im więcej gotówki posiada na koncie), tym większy popyt przejawia na gotową „konfekcję osobowościową”. Z przebogatej palety atrakcyjnych kostiumów noszonych w „tym sezonie” wybiera jakiś jeden; jest wszakże gotów – w razie zmiany koniunktury na „ludzkie modele” – wymienić go pospiesznie na modniejszy. Owa *wymiennosc masek i kostiumów* jest najbardziej uderzająca w tzw. klasie politycznej. Zmiana przynależności partyjnej czy przeobrażenie się z „jastrzębia” w „gołębia” to kwestia dosłownie kilkunastu godzin (niejednokrotnie po treningu z wynajętym wizażystą). Takowe „skokowe przeobrażenia” parodiuje Janusz Palikot, pokazując, iż sednem całej maskarady jest „gra o stołki”. Pożądanie władzy i wpływów – a tym samym pieniędzy – zaślepia polityków tak dalece, że nie obawiają się śmieszności. Liczą przy tym, nie bez racji, na naiwność i bezmyślność swoich potencjalnych wyborców. Z tej politycznej „góry” przykład spływa na „doły”, wskutek czego nadwątlone społeczne zaufanie do każdej aktualnej władzy rozszerza się na wszystkie wymiary relacji międzyludzkich. W gruncie rzeczy przestajemy ufać nawet samym sobie, bo nie możemy być pewni, czy pod wpływem koniunktury bądź zmiany osławionych „układów”, względnie kolejnej (także intelektualnej) mody, sami nie zmienimy się do niepoznaki, sądząc, iż zachowujemy wewnętrzną ciągłość. Tak więc egocentryzm jest w tym wypadku ogromnie dziwny, jako że nie chodzi o Kartezjańskie, stałe i trwałe Ego, ale o pewien ciąg kolejnych wersji „ja”: ja nr 1, ja nr 2, ja nr 3 itd.. Wszystko to sprawia, iż cywilizacja konsumpcyjna przełamana przez neoliberalizm prowadzi do masowej produkcji Ludzi-Manekinów gotowych odziać się w każdy modny bądź korzystny w danym momencie strój (pretensjonalnie zwany imażem). Jej idolem jest Człowiek-Nikt, udający coraz to kogoś innego. Aktualnie panujący typ Prężnego Biznesmena wkrótce może przybrać inną, okolicznościową postać.

*Ratyzacja społeczeństwa, anihilacja osobowości, Baumanowskie upłynnienie* wszystkiego, cokolwiek miało cechy trwałości, sprzyja pojawieniu się fenomenu *ludzkiej pulpy* – swego rodzaju *ludzkiej ciekłej materii*, beztreściwej i bezforemnej. Daje się z niej ugnieść i ulepić dowolny kształt, jako że nie stawia ona żadnego oporu. Wszelkie wartości, zasady, reguły, wszelkie tabu uległy zgnieceni i zmiżdżeniu, wymieszaniu. Dopiero też z takiej, przypominającej plastelinę substancji można na



życzenie ukształtować użyteczny w danym momencie „model”. Społeczeństwo Narcystycznych Manekinów funkcjonuje na zasadzie „klocków lego”; poszczególne, błyskawicznie zmieniające się konstelacje dają się dowolnie układać i rozkładać. Zarówno wzory takowych „układanek”, jak też ich poszczególne elementy są całkowicie wymienne i zastępowalne. Nie do pomyślenia jest dziś *Lament Opatowski* – płaskorzeźba z brązu na sarkofagu Krzysztofa Szydłowieckiego, wyobrażająca rozpacz rodziny, przyjaciół, sług, a nawet zwierząt, chartów i sokołów po śmierci pana. Wszak „nie ma ludzi nie zastępowalnych”, a każda śmierć to perspektywa objęcia zwolnionego „stołka”, stanowiska czy etatu po zmarłym (nie mówiąc o majątku lub odszkodowaniu). *Pulp – społeczeństwo*, oparte na *zmagmowaceniu* ułatwiającym formowanie co chwila nowych *tożsamościowych mód*, możliwe jest dzięki wyzbyciu się tego, co w średniowieczu nazywano Człowiekiem Wewnętrznym. Jego imieniem chrzestnym była Dusza pojmowana jako odbicie w ludziach – boskości. Materializm – fundujący i przenikający Neoliberalny Konsumpcjonizm – sprzyja zatem jego wykluczeniu. Dusza, stanowiąca substancję Człowieka Wewnętrznego, jest autonomiczna, samosterowna, mało podatna na zewnętrzną. Wyjałowienie ludzi z duchowości to umożliwienie (a poniekąd wręcz wymuszenie) zamiany człowieka wewnątrzsterownego na zewnątrzsterownego. Ten ostatni jest protoplastą Manekina, któremu daje się potem wmówić wszystko, pozwalając mu się łudzić, że to on sam wybiera spośród mnóstwa możliwości, kim i jakim chciałby zostać. Nie trzeba dodawać, że rozsądnikiem wszystkich opisanych tendencji jest Telewizja – swoiste „pismo obrazkowe” dla osobnika zewnątrzsterownego. Jedyłą rzeczą, którą steruje on sam, pozostaje pilot do przebiegania w programach, które, zgodnie ze swą nazwą, *programują* jego mentalność.

#### 4. Firma „Uniwersytet”?

Czas na pytanie, jak odnajduje się w takiej sytuacji Uniwersytet. Mam tu na uwadze przede wszystkim rzecz jedną, ale za to – główną. Mianowicie to, czy ma on jasną świadomość sytuacji, w jaką wstawiły go okoliczności historyczne, polityczne, społeczne, ekonomiczne, kulturowe oraz, co najistotniejsze, aksjologiczne. Mówiąc o Uniwersytecie, mam na myśli Ludzi Uniwersytetu: uczonych, nauczycieli akademickich, władze (rektorów, senatorów, dziekanów, dyrektorów instytutów, kierowników zakładów), studentów, administrację oraz, co niezmiernie w tym przypadku ważne, ministerstwo. Na podstawie literatury, publicystyki, a zwłaszcza własnej obserwacji, twierdzę, iż obecnie, to jest w pierwszej dekadzie XXI wieku, Uniwersytet znalazł się w głębokiej *ideowej i aksjologicznej zapaści*. Na czoło problemów, którymi zajmują się uniwersyteckie władze, wysunęła się kwestia *przetrwania*, która skutecznie zaćmiła wszelkie inne przez wieki uznawane za prawdziwie istotne. Za tym, jako bezpośrednia konsekwencja, postępuje zjawisko jego *pragmatyzacji i merkantylizacji*, a jako pośrednia – *biurokratyzacji*, co w postawach ludzkich prowadzi do *konformizmu i oportunistyki*. Za to, co wydaje się zagrażać przetrwaniu Uniwersytetu, a co funkcjonuje w roli „straszaka” ucinającego jakikolwiek krytycyzm, uznaje się bezdyskusyjnie dwa niebezpieczeństwa: brak

odpowiednich funduszy oraz niż demograficzny, rodzący obawę o brak odpowiedniej ilości studentów, która to liczba od pewnego czasu stała się swego rodzaju magicznym zaklęciem, jak też przedmiotem ostrej rywalizacji między uczelniami oraz między nauczycielami akademickimi, którzy „wyrywają” sobie nawzajem słuchaczy. Podnosząc na wszelkich akademickich gremiach kwestię malejącej liczby studentów („klientów” przedsiębiorstwa „Uniwersytet”), czyni się z tego fetysz, odsuwający na bok wszelkie inne, w tym też fundamentalne dla samej instytucji Uniwersytetu sprawy. Ten styl myślenia o Uniwersytecie wpisuje się w ogólniejszy paradygmat, wyznaczający Epokę Sukcesu i Konsumpcji. Jej hegemonem jest Ilość, a jego sługami – Wskaźniki. Obecne społeczeństwo, zaprzepaszczając Ducha, popadło w niewolę Litery, a co gorsza – również Cyfry. W bałwochwalstwo „wskaźników”, przyjmujących postać „punktów”, „liczby cytowań”, „ilości publikacji”, zdobytych „grantów”, obecności na mitycznej „liście filadelfijskiej” itp.. Nie przecząc, że wymienione wyżej czynniki są ważne – stanowią jednak, do pewnego stopnia, o finansowej kondycji Uniwersytetu – podkreślmy raz jeszcze, iż mają one charakter czysto ilościowy. Nieustanne oceny i weryfikacje, którym podlegają wszyscy pracownicy Uczelni, wyrażają się w przyznawaniu im sumy „punktów” za działania wskazane przez anonimowych biurokratów z ministerstwa, nie mających często pojęcia o specyfice pracyuczonych i studentów. Wczuwając się w ten typ „obrachowanego myślenia”, dokonajmy pewnego myślowego eksperymentu. Dopuśćmy do głosu nieograniczoną fantazję i wyobraźmy sobie, że z dnia na dzień staje się cud ekonomiczny: Uniwersytet dostaje olbrzymią darowiznę zaspokajającą najwymyślniejsze potrzeby pracowników i studentów – ich liczba tym samym przestaje być przesądzająca. Co wówczas miałyby do zaoferowania społeczeństwu i kulturze? A nade wszystko – pojedynczym osobom, które z naiwną wiarą w jego wzniosłą misję wstąpiłyby w jego progi? Gdyby ów cud zdarzył się akurat dzisiejszej nocy, z 24 na 25 lipca 2010 roku, pod innymi względami stan rzeczy wyglądałby następująco. Uniwersytet, przecząc swej nazwie, okazałby się Firmą; jedną z wielu firm, produkujących towary albo usługi. Troszczącą się głównie o ich podaż i popyt i obawiającą się przede wszystkim upadłości finansowej. Specyfika Firmy „Uniwersytet” polegałaby jedynie na tym, że sprzedaje ona usługi edukacyjne, a produkuje wąskie grono specjalistów mających w przyszłości obsługiwać wszelkie inne firmy i biznesy. W tym również – Firmę Matkę. Uniwersytet bowiem bez oporów godzi się podlegać ogólnym prawom rynku, jego „niewidzialnej ręce” oraz respektować, traktowaną z przymrużeniem oka, „szarą strefę”.

Choć wielu wydaje się to być czymś koniecznym czy wprost zbawiennym, taki stan rzeczy oznacza *zdradę* najwyższego i niezbywalnego ideału, jakim od początku była *uniwersytecka autonomia*. Autonomia rozumiana jako samostanowienie o wewnętrznym ustroju Uniwersytetu, swoboda wyboru przedmiotów i kierunków badań, ogłaszania i publicznego dyskusowania ich wyników, preferowanie autorskich i oryginalnych koncepcji, indywidualizacja metod i stylów kształcenia oraz wychowywania, uznania dla wybitnych osobowości wśród nauczycieli i studentów, celebrowania relacji „mistrz – uczeń”, skupiania się w szkoły wokół wybitnych twórców. Generalnie: szacunku i tworzenia sprzyjających warunków dla ujawniania się i rozkwitu *osób nieprzeciętnych*. W tym sensie Uniwersytet był zaprzeczeniem Szkoły, której zadanie sprowadza się zasadniczo do przekazywania wiedzy, a nie jej

tworzenia, i wypuszczania absolwentów o możliwie wyrównanym poziomie intelektualnym. Podporządkowanie się pod każdym względem „prawom wielkiej liczby”, wzmocnione dodatkowo trendem do masowości wyższego wykształcenia, sprawiło, że różnica między Szkołą a Uczelnią coraz bardziej się zaciera. Postępuje coraz wyraźniejsza „scholaryzacja” Uniwersytetów, wyrażająca się między innymi odgórnym narzucaniem programów, ich ujednoczaniem pod presją potrzeby dostosowania się do standardów zachodnioeuropejskich czy amerykańskich. Swoista „globalizacja” wykształcenia równoznaczna jest z jego uniformizacją. Aby sprostać tym wymaganiom, trzeba – jak na prokrustowym łożu – przykrawać osobliwości danego środowiska akademickiego tak, by je dopasować do „unijnego standardu”, jak też preferować typ „przeciętnego akademika” kosztem oryginalnej osobowości uczonego. Skupienie na „standardach” i „wskaźnikach”, absolutna wobec nich czołobitność, prowadzi do wyrugowania z pola uwagi pytania o sam sens Uniwersytetu, a tym bardziej – o wierność jego wielowiekowej tradycji. Pospieszna jego modernizacja w kierunku „uprzątnienia” odbywa się więc kosztem lekceważenia *idei*. Zarówno idei samego Uniwersytetu, jak też, generalnie, udziału i rangi idei w ludzkim życiu. Zamiast tworzenia i konfrontowania, otwartego ścierania się różnych idei oferujących wielorakie sposoby realizacji humanistycznych wartości, Uniwersytet, właściwie bez najmniejszego oporu, pozwolił sobie narzucić osobliwą *ideologię bezideowości*. Czym bowiem innym jest pozostawanie w obsłudze *plaskiego pragmatyzmu i krótkowzrocznego utylitaryzmu*, jeśli nie zgodą na *służebność biznesowi*? Z frontonu gmachu rektoratu triumfalnie usunięto napis „nauka w służbie ludu”. Na opustoszałym miejscu wino zwisnąć „nauka w służbie biznesu”!

Choć dzięki tym aksjologicznym koncesjom Uniwersytet może liczyć na „łaskawość” niezbyt szczodrego państwowego „sponsora”, przecież na skutek przekupności traci reszki autonomii, ale również prestiżu i szacunku społecznego. Świadczy o tym „czarny rynek”, na którym bez większego trudu można sprzedać i kupić wszystko: poczynając od prac dyplomowych i magisterskich, kończąc na habilitacyjnych. Żadne uczelniane „organy ścigania” nie są w stanie wyeliminować tych praktyk, bowiem tzw. akademicki styl, którego się od tych produkcji wymaga, jest łatwo podrabiany – tego rodzaju prace można produkować dla zarobku taśmowo, ponieważ są zupełnie bezosobowe, nie noszą piętna ani oryginalnej myśli, ani niepodrabialnego stylu. Kupczenie zarówno „pracami na tytuł”, jak też stanowiskami i tytułami, coraz liczniejsze przypadki plagiatów nawet w wykonaniu profesorów, są „naturalnym” i bezpośrednim następstwem tego, iż poddał się on wzorcowi Firmy. Unosi się nad nią Upiór Rachmistrza – podobny do tego, jakiego spotkał na jednej z planet Mały Książę. Jak pamiętamy z dziecięcej lektury, ów Rachmistrz całe życie spędzał na liczeniu, nie potrafił jednak Księciu odpowiedzieć *co i po co* tak zapamiętałe liczy. Chociaż polskie uniwersytety nader gorliwie zabiegają o „wdrożenie” wszelkich odgórnich narzucanych im „procedur” i „regulaminów”, nie widać, by ich poziom naukowy wzrastał. Dalej pozostają ubogimi krewnymi uczelni zachodnich, które nie wiedzą o ich istnieniu. Tak mści się bezkrytyczne i bezmyślne naśladownictwo, za które Słowacki wymyślał Polakom od „pawi” i „papug”.

## 5. Pogrzebane dostojęstwo Uniwersytetu

Piękny sen o spełnieniu marzeń przez Hojnego Sponsora mógłby – jak widać – skończyć się obudzeniem w dość koszmarnej jawie. Ocknęlibyśmy się bowiem w murach Uniwersytetu Bezduznego, wyzbytego pamięci o prawdziwym swoim powołaniu i przeznaczeniu. Cierpiącego na chorobę Alzheimera, która z początku objawia się zapominaniem niektórych słów, pod koniec zaś – zapomnieniem również tego, kim się jest. I skąd się jest.

Wyliczę kilka takich, doszczętnie wypartych z języka słów, które niegdyś definiowały istotę Uniwersytetu, a dziś mało komu się z nim kojarzą. Alfabetycznie rzecz ujmując, na pierwszym miejscu wymieni ć wypada wspomnianą już *Autonomię*, na kolejnych *Dostojeństwo*, *Godność*, *Honor*, *Mistrz*, *Szacunek*. To, oczywiście, zaledwie przykłady. Bodaj najdziwniej – wręcz jak słowo z obcego języka – brzmi dziś *dostojeństwo*. Nie jest to miejsce, by je definiować, zresztą brak go również w podręcznych słownikach polszczyzny. Pragnę tylko – powołując się na wykład Profesora Andrzeja Nowickiego w jego mieszkaniu, w lipcu 2010 roku, na temat *O dostojeństwie katedr filozoficznych* – zdradzić, iż w punkcie „tajemnica trumny Kazimierza Twardowskiego” mowa była o tym, iż ten wielki myśliciel nakazał, by mu po śmierci do trumny włożyć tak właśnie zatytułowaną jego rozprawę. Aż strach pomyśleć, że mógł to być gest podwójnie symboliczny: raz, że autor najbardziej z całego dorobku cenił sobie akurat ten tekst, po wtóre, że – proroczco – wraz z nim została pogrzebana sama zawarta w nim treść. Dostojność wszak to atrybut człowieka hołdującego *wartościom duchowym* i je kultywującego, podobnie zresztą jest z wszystkimi przed chwilą wymienionymi, które uległy amnezji. Uznawanie, przestrzeganie i wymaganie od Ludzi Uniwersytetu tamtego syndromu wartości, których dostojeństwo było ukoronowaniem, oznaczało, iż przyznawano im prymat. Uniwersytet czuł się wówczas strażnikiem i obrońcą *człowieczeństwa* oraz *dostojeństwa*, które stanowiło jego stopień najwyższy. W jakimś sensie taka hierarchia nakładała na ówczesnych Ludzi Uniwersytetu *kodeks honorowy*, który nie był bynajmniej powieleniem Dekalogu. Było oczywiste, że *szlachectwo myśli* – podobnie jak szlachectwo pochodzenia – obli guje do utrzymywania najwyższych standardów moralnych i obyczajowych. Służba *Prawdzie* musiała być sprzężoną ze służbą *Dobru* i *Pięknu*. Ta ostatnia wartość przejawiała się również w przestrzeganiu elegancji. Począwszy od ubioru, gestów, odnoszenia się do ludzi, aż po wytworność mówionego i pisanego słowa. Język uczonych, a już w szczególności humanistów, musiał być nie tylko zrozumiały, ale i pociągający również dla osób legitymujących się maturą.

*Dostojeństwo*, prócz elegancji, domagało się szlachetności, czyli postawy rycerskiej, przejawiającej się w braniu w obronę słabszych przed silniejszymi. Ten wzorzec, reprezentowany przez profesurę, promieniował na studentów i całe otoczenie. Togi, birety i inne akcesoria uniwersyteckiego stroju miały podkreślać i celebrować tę, nawiązującą do wiekowej tradycji, wyjątkowość Ludzi Uniwersytetu. Mimo iż ostały się one do dziś, utraciły swój sens i stały się po prostu jednym z kostiumów – pustą formą. Jest to wyraz tej samej tendencji upadku uniwersyteckich obyczajów, która z przymrużeniem oka przyzwalała na schamienie, wulgaryzację języka. Profesor Nowicki wśród słów odróżnia „zwyczajniki” i „myślniki”; tylko te drugie znamionują przekazywanie własnych, oryginalnych myśli. Trzeba by jeszcze

dodać słowa „przeklętniki”, służące ekspresji *chamstwa*, pogardy i wstrętu do świata i rozmówców.

Obyczajowość – podkreślmy – to nie czysto zewnętrzna chęć gładkiego czy wytwornego zachowania. To także skryta pod nią obyczajność, znamionująca szacunek do innych, a przez to i do samego siebie. Upadek obyczajów uniwersyteckich świadczy o wpełźnięciu niższych, „gadzych” emocji tam, gdzie panowały uczucia czysto ludzkie. To jeszcze jeden przejaw żalostnej *ratyzacji*, której nawet elita intelektualna nie potrafi się oprzeć.

## 6. Uniwersytet jako producent Ludzi Banalnych

Rezygnując z większości tradycyjnych wyróżników Ludzi Uniwersytetu, sam Uniwersytet utracił obecnie swoje wyjątkowe miejsce tak pośród innych wyższych uczelni, jak też w społeczeństwie i kulturze. Przestał być skarbnicą wysokich norm intelektualnych, etycznych i osobowościowych, w zamian stał się jedną z firm. Firmą produkującą „kapitał ludzki” na zamówienie polityki, przemysłu i usług. Ponieważ uzależnił się od datków państwa, sponsorów i opłat wnoszonych przez studentów, czuje się zobowiązany wykonywać ich zamówienia. To nie Uniwersytet jest teraz źródłem i prawodawcą stylu życia i postępowania, ale wykonawcą owych zamówień i zleceń. Tracąc uniwersyteckiego ducha, przekształcił się w zakładnika materialistycznie nastawionych „usługobiorców”. A ponieważ ci, mówiąc językiem Brzozowskiego, upatrują swego „szczęścia w spożyciu”, przeto musi się zniżać do ich niewyszukanych potrzeb i gustów. Ten proces „równania w dół” kończy się schlebaniem temu, co pospolite, banalne i trywialne. Uniwersytet Bezduszny produkuje więc (nie ma, niestety, konieczności pisania tego w cudzysłowie) Ludzi Banalnych. Określenie „Człowiek Banalny”, jako przeciwstawienie „Człowieka Dostojnego”, nasunęło mi się w trakcie lektury autobiograficznej powieści Lecha Majewskiego zatytułowanej *Metafizyka*<sup>1</sup>. Przytoczę ten ustęp, który posłużył mi za inspirację. Najpierw jednak króciutkie streszczenie poprzedzającego go fragmentu. Otóż autor opowiada o współczesnym człowieku jako o tym, któremu pod wpływem teorii względności „rozleciał się zegar”, a który, zdezorientowany i zdesperowany, rozgląda się za utraconym spokojem. Jest zupełnie bezradny, albowiem, choć dorosły, jeszcze nie dojrzał, Jest dzieckiem porzuconym przez ojca, który poszedł pracować do fabryki lub biura i nie ma czasu „inicjować go w życie”, zostawia więc go matce, „która go zniewieszcza”, a on woła rozpaczliwie: „Ja chcę tatusia, który by to wszystko ujął za pysk i uporządkował”. Na takie wezwanie faktycznie pojawiają się „ojcowie narodu”. „Prośba zostaje wysłuchana i na scenę wchodzi mocni ojcowie: Stalin i Hitler, Mussolini i Franco, Mao Tse Tung i Kim Ir Sen”. Obiecują sztuczne arkadie, ale aby utrzymać pozory sielanki, trzeba je „nawozić krwią”.

*Hekatomba jednak nie wystarcza i pomniki zapalają się same i sieją zniszczenie w wojennej pożodze, która pożera miasta i rzeki, łąki i drzewa, i ludzi zagubionych, i ogłupiałych, którzy już nic więcej nie chcą, żadnej ideologii, patrząc w zwątpieniu na upajający świat, coraz bardziej abstrakcyjny, w ogromnych płótnach współczesnego*

<sup>1</sup> Człowieka Banalnego przeciwstawiam również „Człowiekowi Radykalnemu”, czerpiąc tę nazwę – i stojące za nią przesłanki – od profesor Grażyny Żurkowskiej, która przedstawiła swoją koncepcję podczas VII Konferencji Filozofów Krajów Słowiańskich w Iwoniczu w dniach 16-19 czerwca 2010 roku.

*malarstwa, niewyraźalny, z nowymi kanonami piękna – kikutami rzeźb w nowych parkach miejskich, do których dzieci niedojrzałych ojców przychodzą z kijami bejsbolowymi, żeby mordować, bo boga zastąpił banał ze swoimi kapłanami szczerzącymi śnieżne zęby z ołtarzy – telewizorów, podczas kretyńskich teleturniejów, w których nowe pięćdziesięcioletnie dziecko leci przez basen kiślu, przebrane za poziomkę, by wrzucić trupa czaszkę do kosza z różowego plastiku, a jego siedmioletni potomek tkwi przed ekranem komputera pędząc przez labirynt z laserowym karabinem, siejąc zagładę, rozbijając w proch wszystko, co się rusza, ćwicząc jedną jedyną umiejętność naprawdę przydatną podczas końca świata – **sprawną śmierć** (Lech Majewski, *Metafizyka*, s. 126).*

Bezduszny Uniwersytet, oddający się niewolniczo na usługi bezdusznej rzeczywistości, którą – po Heglowsku – uznaje za nieuchronną „historyczną konieczność”, nie ma innego wyjścia, niż produkować Banalnych Ludzi, którzy ją podtrzymują w istnieniu i podtrzymują jej nieszczęsny żywot. Taki stopień konformizmu i oportunistycznego nie pojawiał się nawet w komunizmie; wszak Uniwersytet w Polsce po roku 1956 był wylegarnią ruchów kontestacyjnych i rewolucyjnych, czego apogeum był rok 1968, a to samo działo się w uniwersytetach zachodnioeuropejskich i amerykańskich. Prawdopodobnie dlatego, że mimo wszystkich wad i ułomności, komunizm był jednak czasem idei i, mniej czy bardziej, myśli o dobru wspólnym. Był też czasem utopii, a w każdym razie – wiary w jej potrzebę. Myśl utopijna zaś to, według K. Mannheim’a, myśl transcendująca, czyli przekraczająca aktualne *status quo*. Dzisiejszy Uniwersytet nie umożliwia takiej perspektywy. Zapatrzony tępo w paragrafy, cyfry, wskaźniki, procedury i inne biurokratyczne wymysły, troszczy się tylko o jedno: jak się do nich czym prędzej dostosować. Bezskrytycznie, i w ogóle bezrefleksyjnie, zakłada, że owe „markery” stanowią równowagę racjonalności. Marzy, że z chwilą, gdy zostaną w stu procentach spełnione, dana uczelnia może automatycznie pretendować do rangi „uniwersytetu flagowego”. To ostatnie wyrażenie rodem ze slangu administracyjno-biurokratycznego stanowi dowód, iż „wyścig szczurów” – i ogólnie „ratyzacja” – zakradła się i na ten teren. Sugeruje ona wyścig o miano najlepszego na liście rankingowej w kraju (i w świecie), za czym ma pójść nie tylko odpowiednio wysoki prestiż, ale przede wszystkim wysokie nakłady finansowe. Kult „markerów” powoduje, że naukowcy (którzy odrzekli się już dawno dumnego miana uczonych) zamiast skupiać się na autonomicznych, idących za indywidualnymi zainteresowaniami i pasjami, tematach i problemach, starają się głównie o dokładną znajomość tego, co aktualnie rokuje największe powodzenie – co się czyta i jak się pisze, jak też gorączkowe śledzenie „przeliczników”, czyli tego, czym się opłaca zajmować, jakie lektury czytać, z jakimi potencjalnymi recenzentami pozostawać w dobrej komitywie. Przed obroną doktoratu czy kolokwium habilitacyjnym pokątnymi drogami dowiadywać o preferencje danej rady wydziału, sympatie i antypatie jej członków. Nade wszystko zaś – orientowanie się w procedurach, które z góry narzucają sposoby postępowania (głosowania wszak zwykle polegają na machinalnym podnoszeniu do góry rąk). Procedury te mają charakter tak sformalizowany, a jednocześnie niekiedy na tyle obłudny, że pewne prace (zwłaszcza z zakresu pedagogiki) broniące są na uczelniach z sąsiedzkich krajów (Ukraina, Słowacja). Formalnie mają one do tego prawo, nikt jednak nie jest w stanie sprawdzić uczciwości

przebiegu tych obron. Mimo iż doktoraty i habilitacje mają wykazywać i udowadniać samodzielność i oryginalność autorskich tez i argumentów, pretendenci do tych tytułów i stopni, ostrzeżeni przez kolegów i promotorów, wolą wybierać tematy bezpieczne. Najczęściej są to prace streszczające poglądy uznanego autora względnie encyklopedyczne zestawienia i porównania; ten typ pracy wymaga głównie umiejętności rekonstrukcyjnych oraz interpretacyjnych. Mało kto w tej sytuacji ryzykuje przedstawianie własnej koncepcji czy metody. Bezpieczne i terminowe wspinanie się po drabinie uniwersyteckiej kariery wymaga bycia „kameleonem”, czyli dostosowywania się do stereotypów, przyjmowania, jak w filmie Zanussiego, „barw ochronnych”. Wszystko po to, aby możliwie bezboleśnie przesunąć się przez tryby maszyny, obcinającej wszelkie „indywidualne odchylenia” od często niepisanych, ale restrykcyjnie działających norm. Znajomy nauczyciel akademicki z UMCS pouczał studentów, że na samodzielne, oryginalne myślenie może sobie pozwolić dopiero profesor belwederski. Problem w tym, że gdy już bezkolizyjnie dociera się na ten stopień, sztucznie utrzymywana w letargu oryginalna myśl, dawno już znikła. Zresztą profesorowie zwyczajni także podlegają procedurze weryfikacji – w składzie komisji oceniającej są zazwyczaj dawni ich studenci, decydujący o ich losie. Hierarchia, tak typowa dla Uniwersytetu, pod pozorami demokratyzacji, naprawdę ulega swoistej pajdokracji. Nadzieja na odwagę myślenie przesuwa się na wiek emerytalny. Niestety, większość profesorów emerytów dorabia do nędznej emerytury na innych uczelniach, musi więc zabiegać, by się podobać jej władzom.

Cała uniwersytecka machina działa obecnie w jednym kierunku: aby nagradzać bezkrytyczne posłuszeństwo kolejnym zarządzeniom ministerstwa, rektora i pomniejszych władz. Prowadzi to nieuchronnie do wspomnianej banalizacji i prymitywizacji myśli, postaw oraz stylu bycia, który zawsze dotąd stanowił wyróżnik Ludzi Uniwersytetu. Odgórne instytucje (w rodzaju ministerstwa i wszelakich ministerialnych komisji) powołują się, jako w gruncie rzeczy na jedyny argument, na produkowane przez siebie lawinowo PROCEDURY. To tajemnicze słowo (z czasownikową odmianą „procesowanie”) ma moc obezwładniającą. Zamyka wszelką dyskusję, a raczej w ogóle do niej nie dopuszcza. Banalność to, w dużej mierze, nieunikniony (i chyba zamierzony) skutek Dyktatury Procedur. Ponieważ ich autorzy pozostają anonimowi, nie ma się nawet przeciwko komu zbuntować. Przykładem może być swego rodzaju ministerialny „ukaz” regulujący, jak w Uniwersytecie należało obchodzić żałobę po tragedii smoleńskiej. Ten kuriozalny dokument – zakładający, że dorośli ludzie z uniwersyteckim cenzusem sami nie potrafią znaleźć się w takiej sytuacji – jest, jak się wydaje, nieobalalnym dowodem infantylicyzacji ministerstwa, a ponieważ nie wzbudził on zgorszenia ani nawet zdziwienia środowiska akademickiego, uważam go za potwierdzenie mojej tezy. Powtórzę ją na koniec raz jeszcze: dzisiejszy Uniwersytet, miast *dostojeństwa*, które według Profesora Nowickiego wyraża się w „patrzeniu z wysoka”, popadł w *szużalczość*, czyli „patrzenie z niska”.